

ZAPISKI FESTIWALOWE

Wszystko zaczęło się od konferencji. We wtorek (6 maja) w hali telewizyjnej Szkoły Filmowej na scenie ustawiono 12 białych krzeseł. Po 11.00 zasiedli na nich znamienici goście festiwalu, by dyskutować o sytuacji zawodowej rozpoczynających dziś karierę młodych aktorów.

Aktor-producent. Wolny zawód? - tytuł konferencji brzmiał nieco zawile, ale rektorowi Mariuszowi Grzegorzewskiemu i prowadzącym dyskusję krytykom, Jackowi Wakarowi i Łukaszowi Maciejewskiemu, udało się postawić kilka konkretnych pytań i wydobyć od uczestników rozmowy ciekawe odpowiedzi. Wcale nie było gładko i zgodnie, wręcz przeciwnie - momentami dyskusja miała burzliwy przebieg. Klasa rozmówców pozwoliła jednak utrzymać sympatyczną atmosferę, mimo kilku naprawdę złośliwych polemik.

Mariusz Grzegorzek zaczął od konstatacji, że nie da się już uczyć aktorstwa, udając, że na rynku pracy wszystko jest po staremu - że teatry dają zatrudnienie na etatach, a telewizja ma dla aktorów mnóstwo propozycji. Trzeba wymyślić i nauczyć nowego sposobu funkcjonowania w zawodzie. Problem w tym, że trzeba mieć wizję tego nowego modelu, jakiejś trzeciej drogi między zatrudnieniem na etacie a funkcjonowaniem w niezależnej (offowej) grupie, którą spaja szybko wyczerpujący się entuzjazm. O tym właśnie mieli dyskutować zaproszeni goście.

Włodzimierz Staniewski (reżyser, twórca Teatru Gardzienice) stwierdził, że ta dyskusja jest mocno spóźniona i że przypomina mu rozmowy, jakie toczył w zespole Izabeli Cywińskiej w czasach... rządu Tadeusza Mazowieckiego. Wtedy też zastanawiano się, ile państwa w kulturze, wytypowano nawet 16 instytucji, którymi państwo miało się finansowo opiekować. Jako alternatywę dla mecenatu państwa reżyser przedstawił koncepcję survivingu, czyli teatralnej szkoły przetrwania. Jako jej zwolennik wsparł się przykładami amerykańskimi i postacią Heleny Modrzejewskiej.

Znana aktorka **Agata Kulesza** powiedziała, że w tym zawodzie nie ma jednej recepty na sukces. Radziła jak najwięcej grać i dbać o niezależność. Metodą na osiągnięcie zawodowej pozycji pozwalającej wybierać role jest według niej pewien spokój, możliwość skupienia się na pracy, w jej przypadku także posiadanie dobrego agenta.

Paweł Potoroczyn (dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza i członek ruchu Obywatele Kultury) wyraził przekonanie o nadchodzącej lepszej przyszłości dla kultury. Swoją optyzm oparł na spostrzeżeniu, że Internet prowadzi do spadku wartości i wiarygodności wszelkich informacji i artefaktów. W tych warunkach kulturowej hiperinflacji ludzie będą łaknąć kontaktu z żywym artystą, będą gotowi za to płacić. Z drugiej strony jest to też rodzaj inwestycji dla państwa (stąd postulat Obywateli Kultury: 1% wydatków na tę dziedzinę życia). Nasz kulturalny dyplomata zupełnie niepotrzebnie zadeklarował, że w kwestiach obyczajowych (np. marihuana) serce ma po lewej stronie, ale w kwestii podatków po prawej. Czyli przeznaczymy 1% na kulturę (potem może dwa, trzy...), ale jednocześnie zmniejszymy podatki, czyli podstawę, od której ten 1% obliczamy. Reżyser **Paul Bargetto** w swych radach poszedł jeszcze dalej, oferując zebranym prawdziwą filozofię życiową w jednym zdaniu: *cokolwiek robicie, unikajcie modelu amerykańskiego*. Poniekąd wtórowała mu **Oksana Smilkova**, reżyserka znająca realia rosyjskie i czeskie. W obu tych krajach działa tak wiele państwowych teatrów, że absolwenci szkół bez większych problemów znajdują zatrudnienie. Co ciekawe - w Moskwie dobre spektakle dyplomowe są grane bardzo długo, co stwarza szanse debiutującym aktorom.

Michał Walczak, teatralny omnibus - dramatopisarz, reżyser, aktor, producent, podkreślił, że przygotowywanie niezależnego spektaklu w przestrzeni klubowej pozwala na kontynuowanie współpracy w grupie pasujących do siebie osób (a nie przeskakiwanie z projektu do projektu), a może też przynieść sukces finansowy.

W drugim okrażeniu (wokół stolików krążyły mikrofony) temperaturę dyskusji podniosła najpierw Agata Kulesza, stwierdzając, że nie można wszystkim obarczać aktora (produkcją, graniem,

pisaniem tekstów, remontami sali), choć robiła w teatrze różne rzeczy mimo bardzo niskiego etatu. Przy okazji okazało się, że 1600 zł, które dla jednych jest niewielkim dodatkiem do honorariów, dla młodych aktorów może być przedmiotem marzeń. W tym momencie oliwy do ognia dodał Włodzimierz Staniewski, ostro krytykując model menedżerski (aktor w stajni agenta). Stwierdził, że agent to jakaś freudowska figura opiekuna, coś pomiędzy rodzicami a partnerem seksualnym. Staniewski przeciwstawił tej relacji model teatru wspólnotowego (plemiennego), takiego jak Gardzienice czy teatr Grotowskiego. Na to Kulesza odparowała, że nie sypia ze swoim agentem, a Łukasz Maciejewski wtrącił, że ten agent jest kobietą (czyli nadal jest to jednak jakiś argument). Spór się zaostrzał, Kulesza odwołała się do opinii widowni (studentów). Na głos z sali nie trzeba było długo czekać. Marta Jaraczewska (dyplom w łódzkiej szkole w ubiegłym roku) opowiedziała o swoich i swoich kolegów doświadczeniu z tworzeniem niezależnego teatru Zamiast. Z tego, co mówiła, wynikało, że właśnie wzięli sprawy w swoje ręce, wszystko robią sami i udaje im się przygotowywać kolejne przedstawienia. Nie udaje się im natomiast (przynajmniej na razie) zarabiać na tym pieniądze. I wtedy nastąpiło coś, co jeśli dojdzie do skutku, przejdzie do annałów festiwalu. Włodzimierz Staniewski publicznie zadeklarował, że daje teatrowi Zamiast 10 000 złotych (liczyłem, że Kulesza da 20 000, ale jednak tak się nie stało). Ten argument uczynił go zwycięzcą dyskusji. Może zatem model amerykańsko-gardzienicki nie jest taki zły? Trzeba tylko umiejętnie sprowokować ludzi z pieniędzmi (w tym przypadku zarobionymi w teatrze). Na pewno warto takich ludzi zapraszać na festiwal.

* * *

Po południu oficjalnie otwarto 32. Festiwal Szkół Teatralnych. Zanim troje rektorów i dziekan wspólnie dali znak do podniesienia kurtyny przed pierwszym spektaklem, odbyła się część artystyczna. Krótki musicalowy prolog przygotowali studenci III roku Wydziału Aktorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi pod opieką Wacława Miłkaszewskiego. I trzeba przyznać, że zrobili to imponująco. Dynamika, zgranie, świetna choreografia, a do tego niezłe teksty a propos szkoły i festiwalu, dobrane do melodii standardów muzyki rozrywkowej (Y.M.C.A. Village People). Było nawet stepowanie w wykonaniu duetu w czarnych smokingach. Trochę gorzej III rokowi poszło z konferansjerką: były pomyłki w nazwiskach, zastanawianie się, jakieś dziwne skrępowanie. Czyżby młodym aktorom łatwiej było stepować niż mówić ze sceny do mikrofonu?

* * *

Na pierwszy spektakl festiwalu organizatorzy wybrali **Samobójcę** Nikołaja Erdmana - dyplom krakowskiej PWST, zrealizowany pod kierunkiem prof. Jerzego Treli. Czemu akurat to przedstawienie? Chyba dlatego, że nadawało się na Dużą Scenę z dużą widownią (pozostałe spektakle zakładają dużo mniejsze, kameralne przestrzenie - widownia będzie budowana na części sceny). Krakowscy studenci potrafią się na takiej dużej scenie odnaleźć, także w kwestii dykcji i siły głosu (bez mikroportów). W nagrodę oklaskiwała ich najliczniejsza widownia. Jerzy Treli nie pierwszy raz robił tekst Erdmana ze studentami. Widać uznał, że groteskowy obraz Rosji końca lat 20. ubiegłego wieku to dobry materiał na dyplomowe przedstawienie. Tragikomiczny charakter pokazywanych sytuacji, galeria charakterystycznych typów i równowaga między scenami zbiorowymi i kameralnymi pozwalają pokazać się młodym aktorom. Środkowa część (uczta ku czci Podsiekielnikowa) pozwoliła też na wprowadzenie elementu wokarno-aktorskiego. Młodszy koledzy w charakterze grupy cygańskich muzyków i tancerzy spisali się trochę gorzej, zwłaszcza taniec ognistych Cygarek miał nieco cepeliowski charakter, ale bogactwo scenicznej rzeczywistości uczyniło z sekwencji przyjęcia samodzielną, niezwykle widowiskową całość. Taki spektakl w spektaklu z piękną plastyką stołu ostatniej wieczery i rytmem wyznaczanym kolejnymi toastami. Żarty w większości śmieszne, z wyjątkiem zdecydowanie przegiętej parodii pogrzebu. Mam też

drobna uwagę do dramaturgicznego powiązania fragmentu o nauce gry na helikonie z resztą historii. To taka trąba-strzelba, która nie wypala.

Wątki i aluzje historyczne nie są może dla nas tak ciekawe jak były 20-30 lat temu, gdy sztuka pojawiła się na polskich scenach, ale ta akurat inscenizacja wydobywa na plan pierwszy uniwersalny problem konfliktu jednostki ze światem, któremu szary nieudacznik jest potrzebny jedynie jako symbol śmierci w imię czegoś. Wola życia jednak wygrywa, szkoda jedynie, że to życie takie byle jakie, że pasztetowa jest w nim natchnieniem, a kogel-mogel sensem istnienia (swoją drogą - trudno o gorzej dobrany zestaw gastronomicznych upodobań).

W zeszyciku z nazwiskami faworytów do nagród aktorskich zapisałem sobie Dominika Rybiałka, Krzysztofa Polkowskiego, Agatę Woźnicką i Bartosza Ostrowskiego.

* * *

Na *Kole kwintowym* w reżyserii Aleksandry Poławskiej (spektakl krakowskiej PWST) przeżyłem coś, co już dawno mi się nie zdarzyło w teatrze: cudowna wymianę energetyczno-emocjonalną między sceną a widownią. Jeden z młodych aktorów tak się zaangażował w przedstawienie, tak się naładował emocjami, że podczas oklasków (spektakl był bardzo dobrze przyjęty) z trudem powstrzymywał łzy. Wyglądał jak złoty medalista olimpijski podczas ceremonii dekoracji. Sam się wzruszyłem jego wzruszeniem, choć sceptyk na dnie duszy kazał mi zapytać: czy będzie się tak przejmował, gdy przed pełną widownią zagra tysięczny raz?

A propos częstego grania - podobno spektakl był już grany grubo ponad dwadzieścia razy.

Reżyserka ciągle coś w nim poprawia, więc jest zapewne coraz lepiej. Może właśnie częste granie to jest sposób na pracę z młodymi aktorami?

W przedstawieniu zwracają uwagę dobre decyzje obsadowe, dopracowana scenografia, podkreślona świetnie przygotowanym oświetleniem. Natomiast sam tekst (w dodatku okrojony do potrzeb grupy 11 aktorów) nie powala. Proza Szymona Bogacza to w oryginale 24 historie bohaterów spędzających razem zimowa noc w szkolnej sali gimnastycznej. Podróż na święta kończy się w skutek zawiei noclegiem w gminnej szkole, posiadającej najlepszą pracownię komputerową w powiecie. Czworo miejscowych (dyrektor szkoły, jego zona nauczycielka, szkolny palacz i ksiądz z miejscowej parafii) oraz siedmioro podróżnych spotykają się, potykają o siebie i momentami rozmawiają. Ale swoje historie opowiadają jako monologi (w książce każdy ma osobny rozdział) skierowane raczej do publiczności niż do innych uczestników tej dziwnej imprezy. W oryginale opowieści jest tyle, ile tonacji w tytułowym kole, co tłumaczy tytuł. W przedstawieniu bohaterów jest 11 (dlaczego chociaż nie 12), co zupełnie psuje koncept książki. W tej sytuacji nazywanie bohaterów nazwami tonacji traci większość sensu. Bo niby dlaczego kolejny złodziej nazywa się E-dur, a kierowca TIR-a e-moll? Może jest jakiś klucz, jakaś synestezyjna charakterystyka postaci? A może chodzi o pokrewieństwo w kole kwintowym? Faktem jest, że jedyną głębszą relację, pozwalającą wyjść poza swoją etiudę, stworzyła para spotykająca się na papierosie - dziewczyna, która pokłóciła się z mężem i chory na raka chłopak, czyli Lena Schimscheiner (cis-moll) z Maciejem Charytonem (h-moll). Oboje wyróżniali się jako aktorzy. Wymienić trzeba też intrygujące role Michał Nowaka i Ewy Porębskiej (ich małżeństwo wiejskich nauczycieli miało w sobie jakąś dziwną tajemnicę). Bardzo podobał się publiczności ksiądz Damiana Strzały, ale moim zdaniem to postać zbyt jednowymiarowa.

* * *

Drugi środowy spektakl to łódzka inscenizacja sztuki Petera Weissa **Marat/Sade** w reżyserii Rudolfa Ziolo. Znów na początku wychodzi dyrektor (Bartosz Szpak) - tym razem zakładu dla obłąkanych - i zapowiada, co zobaczymy. Zobaczymy sztukę przygotowaną przez pacjentów pod kierunkiem pana de Sade'a. Narracyjna rama jest tu nawet podwójna, gdyż wkrótce głos zabiera Wywoływacz (Michał Barczak) - ktoś w rodzaju inspicjento-narratora. Podwójny jest też cudzysłów, w który trzeba wziąć wypowiedziane przez postaci sztuki kwestie: Peter Weiss napisał

przecież sztukę, w której wystawiana jest inna, fikcyjna sztuka de Sade'a. W dodatku wystawiana przez pensjonariuszy domu wariatów, którzy dyskusję ideologiczną o rewolucji, terrorze i prawach jednostki wzbogacają wybuchami szału i niekontrolowanej agresji. Całość przypomina *Nie-Boską komedię* skrzyżowaną z *Lotem nad kukułczym gniazdem*. Marat uzasadnia rewolucyjny terror sprawiedliwą zemstą, skrajny indywidualista de Sade z pogardą odnosi się do rewolucyjnej urawniłowki, przygotowując grunt pod finałowy bunt. Skandowane przez pensjonariuszy hasło *Demokracja-kopulacja* jest jednak wyzwoleniem jedynie na miarę szpitala wariatów. Niestety brzmi dziwnie aktualnie.

Kilka dobrych pomysłów inscenizacyjnych podkreśla umowność scenicznej sytuacji, np. pukanie do drzwi Marata przez Karolinę Corday. Klimat kliniki psychiatrycznej tworzy dobra scenografia Dominiki Błaszczyk i snująca się po scenie Pacjentka (Aleksandra Przybył w świetnej niemej roli). Podobno pacjentów miało być więcej, ale troje studentów zrezygnowało. Może i dobrze, bo na ciasnej scenie i tak panuje tłok. Paweł Dobek gra markiza z odpowiednio dawkowaną pogardą i dumą, zdaje się panować nie tylko nad dyskusją i zachowaniami swoich "aktorów", ale też nad piekącym się co rusz dyrektorem. Terapia zajęciowa sprzed 200 lat jest czymś więcej niż rozrywką dla znudzonej publiczności. Warte obejrzenia!

* * *

Czwartkowe przedstawienie *W tonacji blue* rozpoczęło się z kilkudziesięcominutowym opóźnieniem. Opóźnienie jeszcze wzrosło po dramatycznych próbach usadzenia wszystkich chętnych do obejrzenia spektaklu na malutkiej widowni. To konsekwencja manieri reżyserów, wymagających kameralnego układu sceny. Widzowie, zapomnijcie o wygodnych fotelach - te będą co najwyżej służyć jako dekoracja do pewnych scen - w polskim teatrze królują podesty i twarde ławki. Tytuł mógł sugerować muzyczny charakter przedstawienia. I rzeczywiście - była grana (bardzo dobrze) przez jazzowe trio muzyka, były (trochę gorzej) śpiewane przez aktorów znane anglojęzyczne przeboje, były nawet tańce plemników rodem z filmów Allena (śmieszne) i tancerki w białej bieliźnie pływające w ultrafiolecie. A jednak tonacja jest smutna, bo smutna jest konkluzja sztuki: szczęście nie istnieje, choć wciąż za nim gonimy, przeskakując z łóżka do łóżka. Kobieta śpi z facetem, który potem śpi z kobietą, która... Po dziesięciu rundach wracamy do pierwszej kobiety. Żeby było demokratycznie i żeby każdy zagrał w dwóch scenkach? Tak zapewne myślał młody reżyser, który dał wszystkim kolegom równe szanse na pokazanie się. Tyle tylko, że świat nie jest wyłącznie terenem seksualnych polowań i małżeńskich zdrad. Taką wizję można traktować wyłącznie jako hiperbolę, potraktowana serio jest strasznym uproszczeniem. Ewa Jakubowicz fajnie udaje francuską służącą, a Karol Dziuba bogatego arystokratę.

* * *

O pokazanym w piątek Poskromieniu złoŃnicy pisałem już [tutaj](#). Na festiwalu było odrobinę lepiej niż na premierze, ale przyjęcia przedstawienia - chłodne. Reżyserka nie umiała zagospodarować głębokiej, ale wąskiej sceny. Aktorzy chodzili wte i wewte, nie bardzo wiedząc po co. Oj, chyba nie będzie za to nagród.

Zupełnie inaczej wieczorem - *Szkice z Dostojewskiego* Mai Komorowskiej na pewno nagrodami zaowocują. Zagrać Myszkina, Rogożyna, Karamazowa czy Nastazję Filipowną to jest wielka szansa. Scena - znów odwrotnie niż w pierwszym spektaklu - bardzo szeroka, poszerzana w miarę potrzeb o wielką widownię Dużej Sceny (publiczność oczywiście na ustawionych na scenie ławkach), bardzo precyzyjnie zorganizowana. Jeśli wjeżdża kanapa lub wnoszone są fotele, to wszyscy wiedzą, gdzie to ma stanąć i dlaczego. Klasyczny teatr słowa, wielkie monologi i naładowane emocjami wymiany

zdań. No i te postaci wymyślone przez Dostojewskiego!

Zestawienie księcia Myszkina (Karol Dziuba) z Aloszą Karamazowem (Kamil Mrozek) jest w pełni uzasadnionym zabiegiem scenariuszowym. Tyle tylko, że taką dawkę Dostojewskiego trudno przełknąć na jedno posiedzenie. Zwłaszcza, gdy spektakl zaczyna się o 20.00, a kończy tuż przed północą.

Podobała mi się Małgorzata Mikołajczak jako Nastazja Filipowna (wariowali dla niej mężczyźni na scenie, więc i na męskiej części publiczności musiała robić wrażenie), choć w paru miejscach przeszarżowała z krzykiem i emocjami. Świetną scenę zagrali Liza (Paulina Szostak) i Alosza (Kamil Mrozek). Rogożyn Juliana Świeżawskiego wyważony między dzikością prostaka a wielkoduszością i męską dumą.

* * *

Łódzki spektakl *Leonce i Lena* zaatakował widzów bielą scenografii i kostiumów, ale czy rozgrzał ich do białości? Nie sądzę. Była w nim jakaś wewnętrzna niespójność, jakby reżyser nie mógł się zdecydować na wybór konwencji: wybrać dramat, groteskę czy poetycką baśń? Scena szermierki czy gagi z policjantami próbującymi przesłuchać podróżujących nie pasują do reszty, podobnie jak nijakie w wyrazie piosenki. Jak więc mieli się w tym odnaleźć młodzi aktorzy? Najlepiej zrobił to Paweł Dobek, z melancholii księcia tworząc źródło komizmu. Dodatkowe brawa za sprawność fizyczną. Anna Pijanowska jako Lena była urocza i tkliwa, może trochę zbyt jednostronna w lirycznym uniesieniu. Podobał się Jacek Knap jako król, który chce rzucić władzę, by sobie do woli rozmyślać. Gdyby tak znalazł naśladowców wśród naszych polityków-filozofów.

Sobotni wieczór to znowu czekanie na opóźniony spektakl, dodatkowo przedłużone korowodami przez labirynt teatru przy wprowadzaniu publiczności. By znaleźć się na widowni, trzeba było przejść przez szatnie, schodami na zaplecze, okrążyć pomieszczenia administracji i wejść przez kulisy na scenę. Przez moment miałem wrażenie, że podziemnymi korytarzami dotarliśmy do remontowanego Arlekina. A jednak była to znajoma Duża Scena, przerobiona na szpital z filmu von Triera. *Królestwo* w reżyserii Remigiusza Brzyka to teatralna adaptacja filmu, imponująca rozmachem, symultanicznym przebiegiem scen, bogactwem użytych środków. Wśród nich, chyba gdzieś na końcu znalazło się aktorstwo. Miałem wrażenie, że wrocławscy studenci są tylko pionkami w wielkiej partii, jaką reżyser rozgrywa z publicznością. Nie grają ze sobą, tylko z filmowymi i pop-kulturowymi konwencjami.

Spektakl imponujący śmiałością zamierzenia i rozczarowujący błahością przesłania.

* * *

Jury 32. Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi na posiedzeniu w dniu 11 maja 2014 r. w składzie: Adam Orzechowski – przewodniczący, Agata Kulesza, Bartłomiej Topa, Jacek Wakar i Wioletta Laszczka-Bubień – sekretarz po obejrzeniu jedenastu konkursowych spektakli dyplomowych przyznało

Grand Prix za wybitną osobowość sceniczną w wysokości 15.000 złotych ufundowane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego **Julianowi Świeżewskiemu** z AT w Warszawie za rolę w spektaklu „Ecce Homo!!!” oraz rolę Rogożyna i Rakitina w spektaklu „Szkice z Dostojewskiego”.

Jury przyznało dwie pierwsze nagrody w wysokości 5.000 zł każda:

- za rolę żeńską **Anecie Gołębiewskiej** z AT w Warszawie za rolę Pam w spektaklu „Ecce homo!!!”,

- za rolę męską Piotrowi Marzeckiemu z AT w Warszawie za rolę w spektaklu „Ecce homo!!!”.

Jury przyznało cztery równorzędne nagrody w wysokości 3.000 zł każda:

- **Dominikowi Rybiałkowi** z PWST w Krakowie za rolę Siemona Siemonowicza Podsiekalnikowa w spektaklu „Samobójca”,
- **Magdalenie Koleśnik** z PWST w Krakowie za rolę Marii Łukianowny w spektaklu „Samobójca”,
- **Wiktorii Węgrzyn** z PWST w Krakowie za rolę w spektaklu „Dyplom z kosmosu”,
- **Pawłowi Dobkowi** z PWSFTviT w Łodzi za rolę Markiza de Sade w spektaklu „Marat/Sade”.

Jury przyznało sześć równorzędnych wyróżnień w wysokości 1.000 zł każde:

- **Ewelinie Przybyłe** z PWST w Krakowie za rolę w spektaklu „Dyplom z kosmosu”,
- **Maciejowi Charytonowi** z PWST w Krakowie za rolę H-moll w spektaklu „Koło kwintowe”,
- **Lenie Schimscheiner** z PWST w Krakowie za rolę Cis-moll w spektaklu „Koło kwintowe”,
- **Ewie Jakubowicz** z AT w Warszawie za rolę Służącej w spektaklu „Tonacja blue” i rolę Agłai w spektaklu „Szkice z Dostojewskiego”,
- **Waldemarowi Krawczykowi** z PWST w Krakowie Filia we Wrocławiu za rolę Odyseja Walenia w spektaklu „Odyseje 2014”,
- **Tomaszowi Piotrowskiemu** z PWST w Krakowie Filia we Wrocławiu za rolę Odyseja Greki w spektaklu „Odyseje 2014” oraz rolę w spektaklu „Królestwo”.

Jury przyznało nagrody specjalne:

- nagrodę im. Jana Machulskiego „Bądź orłem, nie zniżaj lotów” w wysokości 100 USD **Paulinie Szostak** z AT w Warszawie za rolę Lizy w spektaklu „Szkice z Dostojewskiego”,
- nagrodę w wysokości 1.000 zł ufundowaną przez Opus Film **Konradowi Wosikowi** z PWST w Krakowie Filia we Wrocławiu za rolę Odyseja Nieogarniam w spektaklu „Odyseje 2014”,
- nagrodę w wysokości 1.500 zł za wrażenia audialne ufundowaną przez Grupę Toya **Grzegorzowi Margasowi** z PWST w Krakowie za rolę w spektaklu „Dyplom z kosmosu”.

Nagrody publiczności 32. Festiwalu Szkół Teatralnych dla Najbardziej Elektryzującej Aktorki i Najbardziej Elektryzującego Aktora ufundowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w wysokości 1.000 zł każda otrzymują:

- **Aleksandra Przybył** z PWSFTviT w Łodzi – Najbardziej Elektryzująca Aktorka,
- **Paweł Dobek** z PWSFTviT w Łodzi – Najbardziej Elektryzujący Aktor.

Jedyną nagrodę dla spektaklu przyznał dyrektor Teatru Nowego z Poznania Piotr Kruszczyński - zaprosił na swoją scenę krakowski **Dyplom z kosmosu**.

Nagrodę ZASP za najlepszy epizod (3000 zł) dostał **Konrad Wosik** z Wrocławia.

Łódzcy dziennikarze (nie brałem udziału w plebiscycie, ale zgadzam się z wyborem) nagrodzili 1000 złotych **Pawła Dobka**.